Pastelowa wstęga Möbiusa na czarnym tle. Część 2.

50 lat twórczości Andrzeja „Dudiego” Dudzińskiego



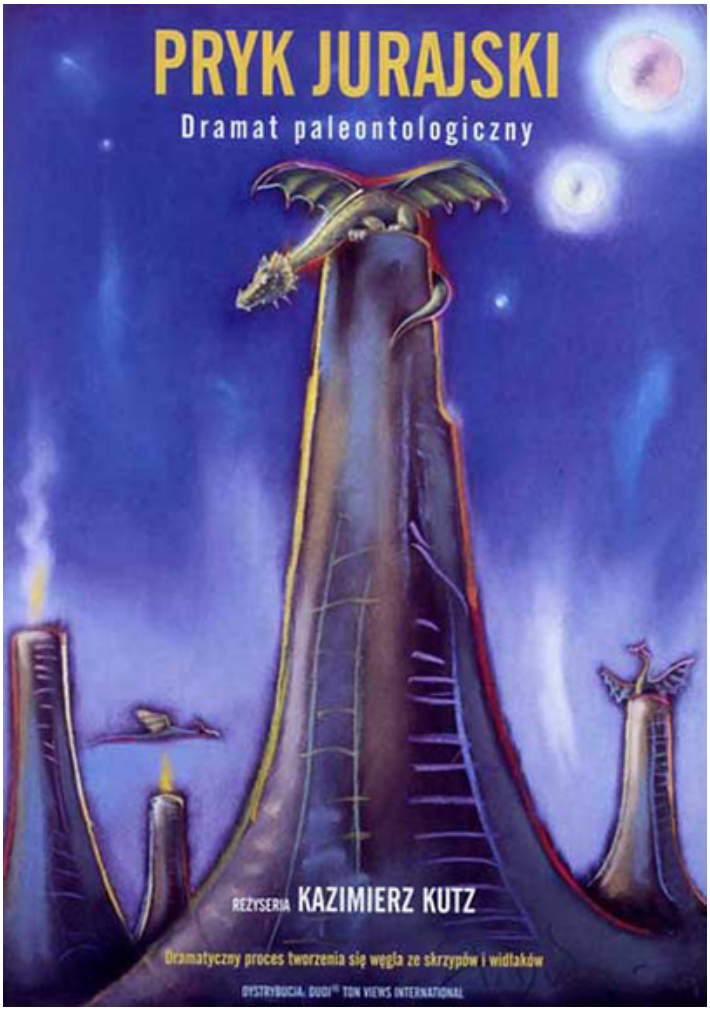
Andrzej Dudziński, fot. miasto.sopot.pl

Krzysztof Kasprzyk *(Sopot, Toronto, El Chalten w Patagonii)*

Konsekwencja wewnętrznej potrzeby

Po zagnieżdżeniu się z powrotem w kraju ma wystawy indywidualne, przy czym pierwszą, w 1996 roku, była wystawa w Sopocie. W tym samym roku wychodzi ważna monografia "Andrzej Dudziński" (w opracowaniu Joanny Szczęsnej) omawiająca twórczość artysty i jego dokonania. W 2001 otrzymuje tytuł Honorowego Obywatela Sopotu, a w sześć lat później, na Monciaku pojawia się mural – Ptak Dudi, który na skutek przebudowy domu zniknął w rok później.

Ukazują się książki autorskie Dudzińskiego: „Superptak Dudi" (WAiF, Warszawa 1996) i „Kino Andrzeja Dudzińskiego" (WAiF, Warszawa 1996) – zabawny pastisz dzieł filmowych, z podmienionymi tytułami, a czasem nazwiskami reżyserów i aktorów;



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

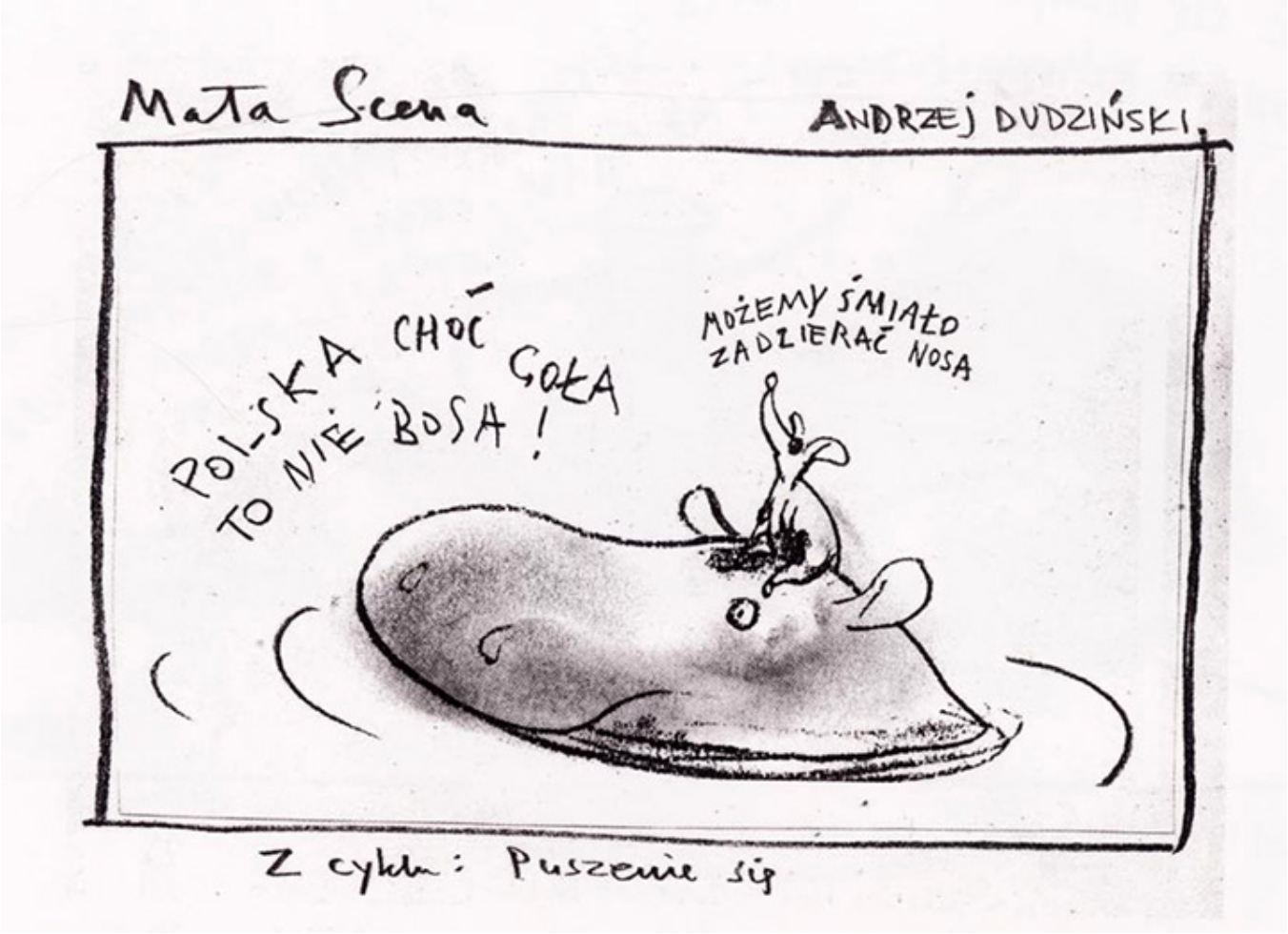


Andrzej Dudziński, źródło: Internet

„W dolinie ciekawości” (z Magdą Dygat; MAW, Warszawa 1997) oraz „Pokrak” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998). W 2002 roku stał się wykładowcą w Wyższej Szkole Sztuk Wizualnych i Nowych Mediów w Warszawie (do roku 2006) i pracował nad serią obrazów cyfrowych. W międzyczasie pojawia się na łamach „Rzeczpospolitej” (lata 2004 – 2006) nowy komentujący stwór – Hipol. Rodak, niby przyciężki, lecz z błyskiem w komentarzach, niby poczciwy, a pod spodem cwaniak i pozer.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

W 2007 roku TVP Kultura w cyklu „Niedziela z…" gościła Dudzińskiego (i ponownie w 2012 roku), a TVP2 pokazała w rok później interesujący film dokumentalny Małgorzaty Łupiny pt. „Dudi". Kolejną pozycją książkową był „Mały alfabet Magdy i Andrzeja Dudzińskich" (z Magdą Dygat; Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009).

Nic dziwnego, że nowe doświadczenia na starym gruncie, wprowadziły dodatki do stylu Dudiego. Ulubioną formą pozostają kolaże, bo takimż czynił swoje życie, mieszając ciepło z ironią, eksperymenty z przenikliwą obserwacją, a w felietonowych

rysunkach refleksyjny humor zasadzał się na zdolności do wyłapywania licznych ludzkich potknięć, a nawet idiotyzmów. Zauważmy na przykład tytuł poniższego rysunku – “Businessmen looking for ideas”



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Andrzej ma skłonność do zauważania specyficznych przedmiotów, gadżetów i pierwsze na nie spojrzenie coś w nim

wzbudza na tyle, że je podnosi, zabiera lub fotografuje, czując intuicyjnie, że kiedyś to wykorzysta, że kiedyś to się ułoży w nowe formy, w nowe zestawy. W kolejne odczytywanie rzeczywistości, lecz z drugiej strony lustra. I to nie na zasadzie odbicia. Jak powiedział w jednym z wywiadów „realizm posiada pewną wartość związaną z miejscem i czasem, ale iluzje można wykreować trójwymiarowo”.

Jednocześnie te nowe formy – asamblaże – podlegają kontroli, obramowaniu, w które są wtłaczane, wciskane, przyklejane, przyszpilane, przybijane a nawet wkręcane.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Dudi jest wręcz zafascynowany uległością i plastycznością papieru, jakże bogatego materiału do artystycznego wyżycia się i spełnienia. Stąd fascynacja starymi kopertami określonego typu, np. Manilla (papier pakowy lub karton, tzw. banan manilski z konopii czyniony…). Koperta jako pomost porozumienia między ludźmi. Po drodze jej przechodzenie poprzez inne ręce pozostawiające nie raz przypadkowe ślady. Przetworzone koperty (zagruntowane kredkami, bielą czy akrylem, pokryte

liniami i plamami) są jak wrzutki w świat, jak ponownie nadane, tym razem do nieznanego odbiorcy.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Nabierają podwójnego sensu – dalszego istnienia i trwania w objęciach sztuki. Może też ukazują bezsens przemijania? Te zmiany stylu i użytych ku temu materiałów, to nieustanna wędrówka poszukiwawcza, oparta na tym co go akurat wchłonęło

i powiązało jednocześnie ze stanem ducha, w danym okresie. Bynajmniej nie w momencie, bo moment jest zarezerwowany do nagłego dodania na koniec jakiejś szybkiej kreski. Okres jest nanizanym w czasie przepływem nowej lub odmiennej energii twórczej.

Nic dziwnego że Andrzej zabrał się także za film i w roku 2015, na zamówienie TVP2, wyreżyserował, według scenariusza Magdy, film paradokumentalny z okazji 100-lecia urodzin Stanisława Dygata pt. „Mój ojciec Staś". Nie chcę zdradzać jego treści, bo jest tam szereg bardzo udanych chwytów dla ilustracji historii Dygata, włącznie z wypowiedziami o nim innych, znanych ludzi. Uważam, iż najważniejsze jest w nim chirurgiczne wręcz odsłonięcie stosunków wzajemnych ojca i córki, z całym zawikłaniem i skomplikowaniem, gdy po zabawnych anegdotach widzowi śmiech szybko zamiera. Śmiem twierdzić, że ów film był dla Magdy oczyszczeniem, końcowym akordem leczenia traumy. Bo nie ma mowy by tego typu relacje pozostały w człowieku bez śladu. I czuję także, że Andrzej w taki sposób reżyserując ten film, bardzo Magdzie pomógł.

Sopockie spotkanie

Mój indiański przyjaciel, szaman Duke Redbird, twierdzi że

niemal nic w życiu nie zdarza się przypadkiem. Będąc w ubiegłym roku w Polsce, natrafiłem na informację o wystawie i spotkaniu z Dudzińskimi w Dworku Sierakowskich w Sopocie, siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Sopotu. Wystawa, pod przewrotnym tytułem – Man – Hat – Tan (człowiek, kapelusz, opalenizna) była już czynna od poczatku sierpnia 2019 r., ale spotkanie, finisażem nazwane, miało miejsce 25 września – na cztery dni przed moim odlotem z Warszawy do Toronto.



Fot. K. Kasprzyk

Nie mogłem odpuścić okazji spotkania się z Dudim po 34 latach (akurat tyle samo lat mieszkam w Toronto). Przeto w pociąg i do Sopotu.

Na marginesie – Dudi nie byłby sobą gdyby nie zamieszał w otchłaniach czasu, bowiem w roku 2011 obchodził 40-lecie swej pracy artystycznej, także w Sopocie a tu nagle, po 8 latach, bach… 50 -lecie. Dudi miał latem dwie wystawy – jedna w

Sopockim Domu Aukcyjnym – ilustracje i rysunki, drugą w Dworku, gdzie przedstawił głównie ilustracje do „Antygony w Nowym Jorku” oraz fotografie tego miasta.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Na finisażu Dudzińscy pokazali dwa filmy Małgorzaty Łupiny – dokument „Dudi" i świetny film animowany w reżyserii Małgorzaty, oparty na projekcie plastycznym i scenariuszu Dudzińskiego pt. „Dłuży się Doży". Film ozdobiony cytatem z Gombrowicza – „Normalność jest linoskoczkiem nad otchłanią nienormalności", oprawiony animacją, nad którą pracowała czwórka ludzi i układem zdjęć dokonanym z kolei przez 6 osób, ze świetną muzyką Marzeny Majcher oraz fragmentem wiersza

Ryszarda Krynickiego czytanego przez Wojciecha Pszoniaka, w sumie trwa 7 minut i jest zachwycający i w najwyższej mierze godny polecenia.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Potem obejrzeliśmy wspomniany film o Dygacie w reżyserii Andrzeja i na końcu ledwo starczyło sił na oficjalne pytania i zaczęły się rozmowy w grupach. Wśród publiczności

zdecydowanie przeważali ludzie w wieku dostojnym, a młodych nie można było niemal uświadczyć, co jest niestety smutnym znakiem czasu i żadne wytłumaczenia, ani względy, nie są tu na miejscu.

Być może wszystko z powodu zejścia się sopockich znajomych z czasów szkoły i studiów Andrzeja, wśród których rozpoznałem bez trudu ze dwie osoby, a z trudem kolejne cztery. W końcowym rozgardiaszu zdołałem ledwie zamienić parę słów z Magdą i Andrzejem i zrobić im zdjęcie.



Fot. K. Kasprzyk

Będąc już w Toronto znalazłem informację o kolejnej wystawie Dudiego, m.in. w Warszawie i Tarnowie, zatytułowanej „Bestiariusz podwodny”. Kie licho, pomyślałem… Cóż on znowu wymyślił? Szperając w Internecie znalazłem jego wypowiedź o idei wystawy zawierającej nowy cykl prac opartych ponownie na stworzeniach Bożych, o których ich autor tak powiedział:

> Podobno Bóg, podczas procesu tworzenia, miał obsesję recyklingu. Po uporaniu się z głównymi aktorami świata przyrody, z walających się resztek; łusek, piór i kawałków

> futerka, a także z troski, żeby się nic nie zmarnowało, posklecał różne mniej lub bardziej ekscentryczne stworki. Choć daleki jestem od nasuwającego się porównania to muszę przyznać, że sama metoda bardzo mnie zainspirowała.

I kontynuował:

> Żeby uciec od ponurej rzeczywistości postanowiłem zejść pod powierzchnię, licząc na to, że w otchłani wodnej znajdę rzeczy, które nie tylko odwrócą moją uwagę, ale być może zawładną moją wyobraźnią. Jak na kogoś kto do tej pory zajmował się głównie ptactwem (i Pokractwem) oraz rozmaitą zwierzyną imaginacyjną, wyobraźnię ichtiologiczną miałem dość słabo rozwiniętą.
>
> Szybko okazało się, że nie mogłem być przygotowany na to co mnie w otchłani wody może spotkać. Najpierw oczywiście rozpoznawałem te rzeczy, które znałem lub kiedyś widziałem. Potem pojawiały się stwory coraz mniej znane, nigdy przedtem nie widziane, wreszcie te, w których istnienie dotąd nie mogę uwierzyć. Takie kreacje natury poznikały z powierzchni ziemi dawno temu, a w podwodnych przestworzach nadal świetnie się mają. Zaprezentowane tutaj prace są katalogiem tego, co tam ujrzałem, jak również tego, co mi się zdaje, że zobaczyłem.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Podejrzewam, że to też inspiracja Sopotem, powzięta z tych lat, gdy człowiek nurkował pod molem obserwując z podziwem, zmieszanym czasem z pierwotnym lękiem przed żywiołem wody, owe niesamowite odcienie zieloności w przeróżnych odmianach, znaczone refleksami słońca, podwodną armią szarych i oplecionych zielonoomszałymi glonami pali, wbitych w dno zatoki, a pomiędzy nimi czasem błysnął srebrzystoniebieski węgorz lub smagła opalenizna syreny, przyjezdnej na wakacje z głębi kraju. Plaża i molo, obok wysokopiennego lasu bukowo-sosnowego, to jeden z labiryntów tajemniczego, sopockiego

dzieciństwa.



Fot. K. Kasprzyk

Jeśli zastanowię się, jak Dudziński obecnie podchodzi do swego tworzenia, do tej pasji łączenia elementów, sądzę, że podchodzi do wszystkiego z większym spokojem. I jak większość wybitnych artystów z różnych dziedzin, doszedł do punktu sprawiającego wielką frajdę tworzącemu – do prostoty, do skrótowego

utrafiania we właściwy punkt, w coś co tak pięknie nazwał Bohumil Hrabal – w potrzebę bycia mistrzem świata. Stąd coraz większa oszczędność w kolorystyce, na rzecz surowej, jednolitej płaszczyzny w jednym kolorze, i co charakterystyczne, wytłumionym. Wystarczy porównać współczesne prace z tymi z lat dawnych, czynione kredkami, rozbuchane w ilustracjach, plakatach, które wręcz oszołamiały swoja fantazją szczegółów, rozległością technik, zestawieniem niemal zjadających się wzajemnie kolorów.

Przy spokoju zachował jednakże coś co zawsze w nim zauważałem – temperament. On jest i dalej go wewnętrznie nakręca, włącznie z sposobem prowadzenia rozmowy, zarówno o jego twórczości, jak i o sztuce i życiu w ogóle, o czym mogłem się przekonać podczas wrześniowego spotkania.



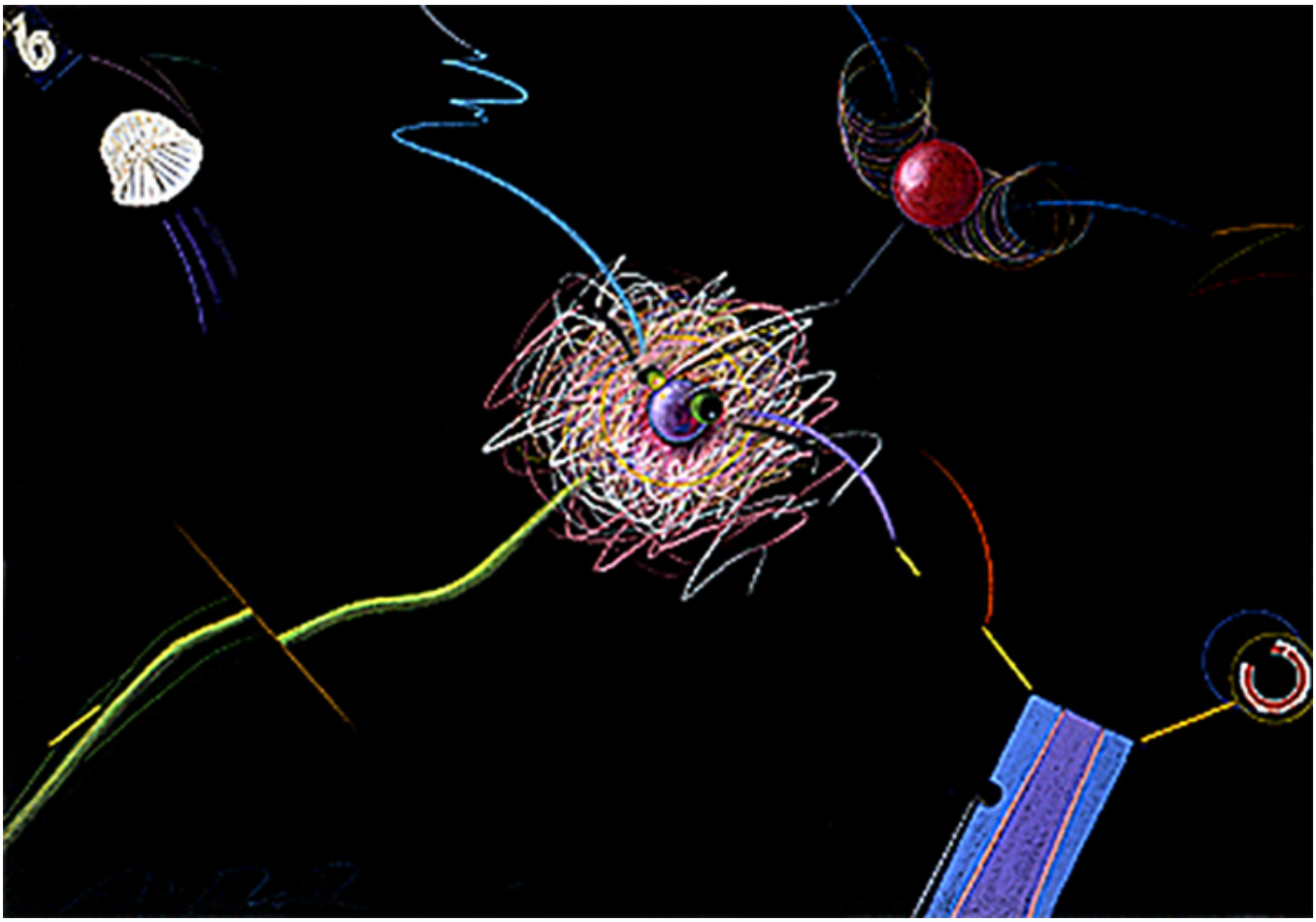
Andrzej Dudziński (z prawej) w rozmowie z dyrektorem Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, panem Krzysztofem Kuczkowskim, fot. K. Kasprzyk

Posiada także w dalszym ciągu TO co wynosi się z Sopotu, z jego otoczenia i atmosfery – wibrującą intuicję, której nie zdoła stłumić czy zasypać ani Warszawa, ani Londyn czy Nowy Jork. Z intuicją wiąże się również wrodzony instynkt odczucia co mi jest potrzebne, co mogę z siebie wydobyć w najczystszej postaci. Stąd eksperymenty z rysowaniem czy malowaniem lewą ręką lub z zamkniętymi oczami. I nie są to artystyczne kaprysy czy formalne gierki. To są wciąż poszukiwania, sięganie do różnych źródeł, fascynujących i intrygujących w samym sobie.

Nie da rady go zaszufladkować i to jest jego wielkie osiągnięcie. Wymyka się określeniom, które tak często lubi stosować człowiek

współczesny, nie tylko z racji wzrastających ograniczeń intelektualnych i ograniczonego wyczucia, ale także z powodu traktowania kogoś utalentowanego i znanego (o tak, to przede wszystkim – węszenie za celebrytą!), jak pięknego motyla, przyszpilonego w zamkniętej gablocie.

Część 1: https://www.cultureave.com/pastelowa-wstega-mobiusa-na-czarnym-tle-czesc-1/



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Andrzej Dudziński – rocznik 1945. Laureat prestiżowych nagród krajowych i zagranicznych, m.in. Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Nagroda Neptuna przyznawana przez Prezydenta Gdańska, Nagroda ZAiKSu (w 2018 otrzymał Nagrodę 100-lecia Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, które w rok później nadało mu tytuł Honorowego Członka); nagrody The Arts Directors Club of New York, Society of Illustrators i Society of Newspaper Desing, London Advertising Award, The American Institute of Graphic Arts.

Jest laureatem Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski (nadany w 2012).

Wystawy indywidualne, m.in. w Warszawie, Łodzi, Gdańsku, Krakowie, Szczecinie, Legnicy, Sopocie, Nowym Jorku, Waszyngtonie, Londynie, Tokio, Hamburgu, Genewie, Pradze, Paryżu, Brukseli, Berlinie, Lipsku i Düsseldorfie.

W grudniu 2019 w Sopockiej Państwowej Galerii Sztuki otwarcie wielkiej wystawy indywidualnej Dudiego, podsumowującej 50-lecie pracy artystycznej. Zapraszam i gorąco polecam.

Strona internetowa: http://www. Andrzejdudzinski.com

W opracowaniu powyższego tekstu korzystałem ze źródeł w Internecie (wywiady, zdjęcia), z książki monograficznej "Andrzej Dudziński" oraz z własnych fotografii.

Spotkania w powojennym Londynie

Rok 2020 – rokiem Leopolda Tyrmanda



Leopold Tyrmand, fot. Muzeum Jazzu

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał Leopold Tyrmand. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego". a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej. Przyjechał też Jerzy Zawieyski, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez

talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie z Józefem Bujnowskim, Wandą Chruściel, Krystyną Cywińską, Marią Nowakowską, Wojciechem Gniatczyńskim, Ferdynandem Goetlem. Zygmuntem Ławrynowiczem czy Napoleonem Sądkiem, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: “No, to leć pan, latający Holendrze”.

Ze Stefanem Kisielewskim mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił Henryka Mikołaja Góreckiego. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy.

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

Ostatnia podróż wieszcza



Pocztówka z wizerunkiem Juliusza Słowackiego, ilustracja do wiersza „Smutno mi Boże”, fot. Biblioteka Narodowa

Włodzimierz Wójcik *(Sosnowiec)*

Pamiętam doskonale odczyt Kazimierza Wyki – mojego mistrza – i jego wielką radość, kiedy stwierdził, że Norwid udając się z Krakowa na Zachód, przejeżdżał przez jego rodzinne Krzeszowice. Ja też szukałem czegoś szczególnego i znalazłem Słowackiego… Wiadomo, że wielki romantyczny poeta był na Śląsku, ale tym Dolnym; we Wrocławiu spotkał się z ukochaną matką – Salomeą. Ale w Sosnowcu, czy w Katowicach? A jednak… Wiadomo, że Słowacki – jeden z polskich wieszczów narodowych – na świat przyszedł w Krzemieńcu 4 września (23 sierpnia wedle starej daty) 1809 roku, jego serce zastygło w stolicy Francji 3 kwietnia w 1849. Poetę pochowano na paryskim cmentarzu Montmartre. Wiadomo też powszechnie, że obdarował nas cudownymi wierszami lirycznymi, towarzyszącymi nam przez życie, poetyckimi powieściami (Jan Bielecki, Ojciec zadżumionych), najwyższej klasy dramatem romantycznym (Kordian, Horsztyński, Balladyna, Lilla Weneda, Mazepa, Fantazy, Sen srebrny Salomei), poematem dygresyjnym (Beniowski) czy historiozoficznym (Genezis z Ducha, Król-Duch), wreszcie pełnymi ciepła listami do matki i przyjaciół, które się czyta z zapartym tchem i szczerym wzruszeniem. Podobnie jak Chopin, zmarł przedwcześnie pośród garstki przyjaciół. W dniu zgonu otrzymał list od ukochanej matki – Salomei. Nie był jednak w stanie wziąć go do ręki, tak był osłabiony. List przeczytał mu jego przyjaciel, Zygmunt Szczęsny Feliński. Po lekturze

umierający powiedział: „Jaki Bóg dobry, że mi przed zgonem daje tu jeszcze wielką pociechę. Pożegnanie i błogosławieństwo matki…”. Na jego skromnym pogrzebie było zaledwie 30 osób. Smutna to prawda. 78 lat później niepodległa już Polska upomniała się o swojego syna postanowieniem sprowadzenia jego prochów do kraju.

Rankiem 14 czerwca 1927 na cmentarzu Montmartre dokonano ekshumacji zwłok Słowackiego z udziałem wybitnego polskiego poety, skamandryty, Jana Lechonia. Znalezione kostne szczątki włożono do małej metalowej trumienki, tę zaś do większej – hebanowej. Po odprawieniu nabożeństwa w polskim kościele Assomption, orszak przeszedł ulicami Paryża do ambasady polskiej, gdzie trumna była wystawiona na widok publiczny. Wieczorem przewieziono ją do Cherbourga. Z francuskiego portu polski statkiem „Wilia” do Gdyni, stąd na torpedowcu „Mazur” do Gdańska. Ostatnią drogę prochy polskiego poety odbyły wiślanym statkiem „Mickiewicz”, który zatrzymywał się w Grudziądzu, Toruniu, Włocławku, Płocku, Wyszogrodzie i Modlinie. 26 czerwca w południe statek przybył do Warszawy. Po odbyciu uroczystości pogrzebowych w Katedrze Świętego Jana, z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, przez całą noc mieszkańcy stolicy oddawali hołd twórcy Króla-Ducha. Nazajutrz z Dworca Głównego trumnę przewieziono do Krakowa. Pociąg zatrzymywał się w Skierniewicach, Koluszkach, Piotrkowie, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, także u nas w Sosnowcu i

w Katowicach. Tysiące naszych rodaków oddawały hołd poecie-wieszczowi. Od godzin wieczornych 27 czerwca w krakowskim Barbakanie mieszkańcy podwawelskiego grodu pochylali głowy przed trumną poety. Rankiem następnego dnia kondukt przemaszerował koło kościoła Świętej Anny, aby oddać hołd matce Słowackiego, która tutaj przed laty ufundowała tablicę pamiątkową dla syna. Na Wawelu prochy Słowackiego powitał Józef Piłsudski, który swoje piękne wystąpienie zakończył znamiennymi słowami skierowanymi do grupy oficerów:

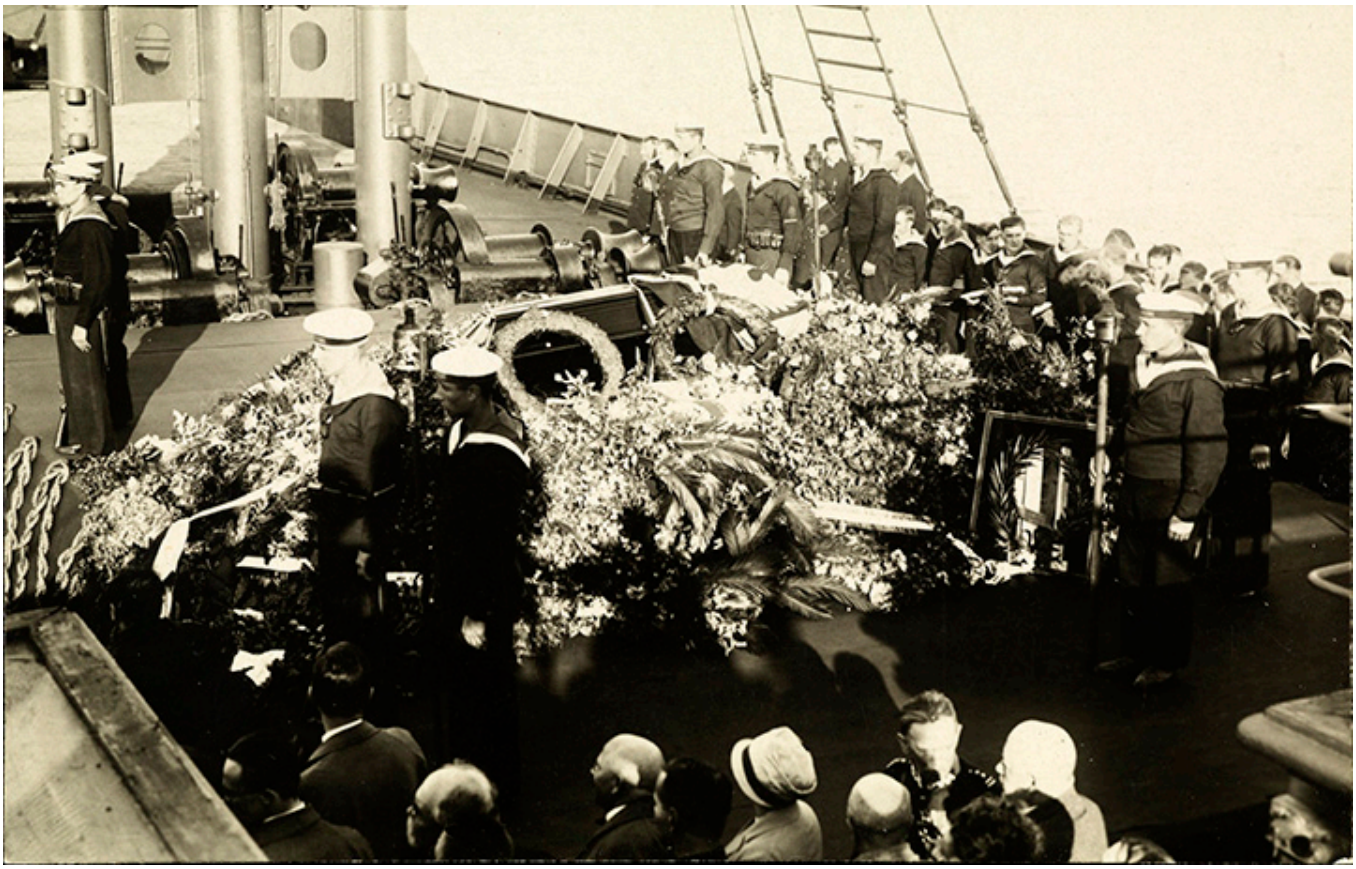
> W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam dziś Panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królom był równy.

Kostne szczątki Słowackiego pochowane zostały w wawelskiej krypcie obok Mickiewicza. Jego serce wessała ziemia francuska. A jednak poeta przesłał własne serce Matce-Polsce i Matce-Salomej w poetyckim słowie. Mamy na myśli jeden z głośniejszych jego wierszy „Testament mój”. Warto przytoczyć dwie zwrotki z tego tekstu:

> Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,

> Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,
>
> Dziś was rzucam i dalej idę w cień – z duchami –
>
> A jak gdyby tu szczęście było – idę smętny.
>
> […]
>
> Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
>
> I biedne serce moje spalą w aloesie,
>
> I tej, która mi dała to serce, oddadzą –
>
> Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

Cóż do tych wzruszających słów dodać? Wydaje mi się, że tekst jest dość jasny, zrozumiały dla każdego czującego Polaka… Także i dzisiaj, kiedy żyjemy w nie tak bardzo romantycznych czasach… Wartości wyższego rzędu – imponderabilia – nie umierają, mimo że w niektórych szkołach program nauczania literatury romantycznej jest wyraźnie redukowany…



Sprowadzenie szczątków Juliusza Słowackiego do Polski, uroczyste przywitanie trumny w Gdyni, 1927 r., fot. wikipedia

O tych uroczystościach myślę z prawdziwym wzruszeniem. Wracam myślami do mojego ojca, który o nich opowiadał mi w okrutny czas okupacji. zabierając mnie wielokrotnie z Łagiszy, gdzie mieszkaliśmy, do Sosnowca. Oto bowiem w roku 1927 służył w wojsku polskim w Krakowie i brał udział w uroczystym pochodzie na wzgórze wawelskie. Jego wspomnienia i swojskie gawędy, żywe i barwne, pełniły funkcję swego rodzaju podręcznika historii w czasie, gdy polska książka była tępiona przez Niemców wszelkimi metodami. Tym domowym sposobem odbywało się patriotyczne wychowanie mojego pokolenia, tak kształtowała się legenda romantyczna, dzięki której łatwiej było przetrwać narodowe niedole i zachować poczucie własnej

tożsamości. Nic dziwnego, że po latach, po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, wróciłem do postaci Marszałka, prawdziwego Hetmana, dzięki któremu ukochany syn Salomei – powróciwszy pośmiertnie z emigracji – znalazł się pośród królów. Pisząc książkę Legenda Piłsudskiego w polskiej literaturze międzywojennej i szereg innych prac na ten temat, miałem to przeświadczenie, że tyle jesteśmy warci, ile kochamy naszych zmarłych.

Z rodzinnego albumu. Zamość.

Rozpoczynamy publikację wspomnień Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej, twórczyni historii pojazdów konnych, przez wiele lat związanej z Powozownią Zamkową w Łańcucie. „Z rodzinnego albumu" to losy rodziny pochodzącej z Wołynia, z dramatycznymi dziejami w tle, ale też pasjonująca praca, podróże, spotkania z ciekawymi ludźmi. Autorka dzięki wielkiej wrażliwości i talentowi

literackiemu wspaniale nakreśliła życie Polaków, dla których, mimo trudnej historii, polska tożsamość i dziedzictwo kulturowe stanowiły największą wartość.

Kolejne części będą się ukazywać w trzeci piątek miesiąca.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red. magazynu „Culture Avenue”.



Dom drewniany w Zamościu, w latach 1927-1975 własność Józefa Fabijańskiego, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Moje życie związane jest z kilkoma miejscowościami. Wszystkie

są historycznie ważne, kulturowo bardzo ciekawe, artystycznie piękne i słynne.

Urodziłam się w Zamościu – późnorenesansowym mieście-twierdzy założonym w 1580 r. Przez hetmana Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Miasto to zaprojektował w całości architekt – urbanista włoskiego pochodzenia, Bernardo Morando. Zamość posiada ok. 120 zabytków architektury, do których należą m.in. najwspanialsza kolegiata (obecnie katedra), ratusz wraz z zespołem podcieniowych kamienic wokół rynku, zamek, a może raczej pałac Zamoyskich, przed którym postawiono pomnik założyciela, Jana Zamoyskiego na koniu, wykonany w konwencji znanych arcydzieł renesansowej rzeźby włoskiej. Pięknie się tam prezentuje i przypomina początki naszej Padwy Północy, jak zwykło się określać tę perłę miast. Zabytkiem jest gmach Akademii Zamojskiej (1594), do której uczęszczałam przez sześć lat szkoły średniej, kościół oo. Franciszkanów (przed wojną i po wojnie było tam kino i sala widowiskowa, gdzie graliśmy przedstawienia i słuchaliśmy koncertów znakomitych artystów polskich). Imponujący swą stylową formą architektury militarnej zespół fortyfikacji związany jest ze znanymi nazwiskami inżynierów i generałów włoskich i austriackich. Zachowana jest pamiątkowa cela, w której rząd carski więził Waleriana Łukasińskiego w latach 1824-26 za działalność patriotyczną. Jedną z pierwszych budowli wzniesionych przez B. Moranda był arsenał, usytuowany obok pałacu, mieszczący

dzisiaj ciekawe zbiory muzealne z zakresu militariów. Istnieją cztery bramy wjazdowe w fortyfikacjach miasta z tym, że pierwsza brama Lubelska została zamurowana na pamiątkę przejazdu arcyksięcia Maksymiliana austriackiego po wzięciu go do niewoli w 1588 r. w przegranej bitwie pod Byczyną. Zwycięskie wojska hetmana konwojowały dostojnego więźnia w małej karetce, ale przez tę bramę nikt już więcej nie przejechał. Wybudowano drugą, obecnie zrekonstruowaną. Miasto Zamość zostało wpisane w 1980 r. na listę międzynarodowego dziedzictwa kulturowego i jest Pomnikiem Historii. Jest to także miasto-bohater odznaczone Krzyżem Grunwaldu III klasy.

Na przestrzeni dziejów Zamość wiele wycierpiał. Po pierwszym rozbiorze Polski w 1772 r. zajęli miasto Austriacy. Dokonali wielu zniszczeń jego form artystycznych, traktując renesansowe ozdoby np. attyki, jako zbędne dla koszar wojskowych. Zubożona przez to została ich koronkowa dekoracja, jedyna w skali całego rynku, tak unikatowego miasta, gdzie każda kamienica posiadała na parterze podcienia, reprezentacyjne pierwsze piętro (odpowiednik piano nobile w pałacach) i mezzanin z attyką zasłaniającą pogrążony dach, zupełnie niewidoczny. Było to cudownie pomyślane, bowiem dekoracja architektoniczna i sztukatorska, na każdej kamienicy inna, podkreślona tu została kolorem mocnym, ale harmonizującym z całością. Chciałoby się powiedzieć – kolorowe, koronkowe miasto. Niestety, nie przywrócono tego w czasie rewaloryzacji trwającej długie lata

70. i 80., a mającej na celu m.in. „wydobycie zatartych walorów artystycznych”.

Zamość, chociaż uczestniczył we wszystkich wojnach, jakie na tych terenach się toczyły, nigdy nie był zniszczony działaniami wojsk. Twierdza zdała egzamin. Najboleśniejsza ostatnia wojna światowa lat 1939-1944 (dla tych terenów) pozostawiła Pomnik Martyrologii w rotundzie odległej od murów miasta ok. l km. Jest tam dzisiaj Mauzoleum Martyrologii Zamojszczyzny. Była to niegdyś działobitnia wzniesiona w latach 1825-31 przez rząd carskiej Rosji (od 1815 zabór rosyjski) z czerwonej cegły w kształcie obwarzanka z celami wewnątrz i dziedzińcem z bramą wjazdową. Na tym dziedzińcu palono zwłoki więźniów trzymanych w okropnych warunkach i ścisku. Rozstrzeliwani byli na miejscu. Do dzisiaj brama nosi ślady odłamków kul, a wyrwa w murze po lewej stronie za bramą, za drutem kolczastym – to miejsce straceń. Ginęła tu przede wszystkim inteligencja, działacze ruchu oporu i ludzie o zdolnościach przywódczych. Ginęły tu również dzieci przywożone z terenów pacyfikowanych przez hitlerowców. Ostatni ordynat zamojski, senator Jan Zamoyski, wraz ze swoją żoną uratowali 300 dzieci, organizując im opiekę, wyżywienie, mieszkanie i naukę w Zwierzyńcu, gdzie mieszkali w latach okupacji. Te miały szczęście, po wojnie niektóre odnalazły rodziców.

W latach po okupacji hitlerowskiej Zamość leczył rany

psychiczne i rozwijał się edukacyjnie i kulturowo. Było dużo szkół, także średnich, teatr amatorski, oczywiście przedstawienia szkolne, rewie, pokazy sportowe, ogniska harcerskie z artystyczną oprawą. Znakomicie dobierało repertuar kino „Stylowy”, do którego chodziło się na najgłośniejsze filmy zarówno zagraniczne, jak i polskie przed i powojenne.

Od 1975 r. podniesiono status miasta na wojewódzkie. Miało to pozytywny wpływ na rozwój urbanistyczny. Powstały nowe osiedla mieszkaniowe. W Academii Zamoscensis znów otworzono uniwersytet. W hierarchii kościelnej kolegiata stała się katedrą, a w miejsce kolegium powstała kuria biskupia.

***



Babcia i córki – Czernichów, Ukraina, ok., 1910. Maria z de Schmieden-Kowalskich Piątkowska (ciocia Niusia) – z prawej, Emilia de Schmieden-Kowalska (ciocia Milusia) – z lewej, Maria Joanna z Moszynskich Anzelmowa de Schmieden-Kowalska (babcia) – w środku.

W 1932 roku, w Zamościu, pewnego jesiennego dnia, 30-go września, gdy słońce było w znaku wagi, wydarzyło się coś chyba ważnego w rodzinie Józefa Wita Fabijańskiego i Eleonory z De Schmieden-Kowalskich, w ich własnym domu przy ulicy wówczas Lwowskiej, obecnie Partyzantów. Później komputer mi powiedział, że był to piątek – oznacza to pracowite i postne życie, do tego kryzysowe. Ci, którzy rodzą się pod znakiem „wagi" mają trudne życie, dźwigają swój ciężar, rozważając wszelkie za i przeciw. Ela, moja starsza siostra mówiła mi, że urodziłam się w

czasie, gdy cała trójka rodzeństwa poszła na spacer, a gdy wrócili, byłam już ja – czwarte dziecko, najmłodsze i ostatnie.

Rodzice pobrali się w 1923 r. w Łucku, gdzie znajomy dziadków, ksiądz biskup Dybowski udzielił ślubu w tamtejszej katedrze, obecnie znów oddanej katolikom. Zamieszkali w Zamościu początkowo w wynajętym domu, podobnym do naszego, który już nie istnieje. Tam urodziło się dwoje z mojego rodzeństwa: Ela (1924) i Witek (1926). Później przenieśli się do swojego domu i tu przyszedł na świat Julek (1928) i ja (1932). Potem jeszcze Baśka, córka Witka (1954), a na koniec Wrzesław, mój syn (1957).

Pamiętam rozkład pokoi wtedy, gdy jako trzyletnie dziecko biegałam po domu ślizgając się na zawsze wyfroterowanych podłogach o długich deskach z sękami i dużymi gwoździami. Podłogi te były piękne, lśniące i wymagały ogromnej pracy.

Czas moich narodzin był fatalny. Światowy kryzys spowodował bezrobocie. Dotknęło ono i mojego ojca, który ze stanowiska dyrektora prywatnej fabryki pana Kowerskiego, po jego śmierci i likwidacji zakładu, stracił pracę na kilkanaście miesięcy. Próby założenia własnej fabryki owoców i warzyw suszonych we Włodzimierzu Wołyńskim, skończyły się na plajcie, a wszystkie urządzenia, maszyny, suszarki, krajalnice itp. przyjechały do Zamościa i na strychu domu były przez wiele lat, nawet coś

jeszcze zostało po wojnie. A więc nie zostałam córką fabrykanta. Natomiast brak pracy spowodował zwolnienie domowej służby i mój ojciec z konieczności więcej zajmował się mną, niż starszym rodzeństwem. Z ojcem zasypiałam, z ojcem wstawałam w nocy. To dobrze pamiętam. Może dlatego tak bardzo kochałam tego mojego tatusia.



Tata: Józef Wit Fabijański, w mundurze POW-iaka marszalka J. Pilsudskiego,

Sypialnia rodziców znajdowała się wtedy w pokoju od północy, oddzielonym od reszty domu przedpokojem. W pokoju jadalnym, centralnie położonym , było mnóstwo białych, filunkowych drzwi. Wchodziło się przez ganek i przedpokój na lewo do dużego pokoju, który długo był naszym dziecinnym, na prawo do małego pokoju-saloniku i do kuchni. Naturalnie, szerokie przeszklone drzwi z bocznymi, wąskimi oknami wychodziły na werandę i oświetlały ten przyciemnawy zwykle pokój malowany olejno w modne wówczas boazerie, niby deski na zmianę ciemne i jasne aż do sufitu. Pokój ten był najmilszy wieczorem, gdy gromadziliśmy się wokół dębowego stołu. Życie rodzinne miało wtedy swój niezrównany charakter ciepła i bliskości. W świetle secesyjnej lampy, której jeszcze szczątki istnieją, siadaliśmy do kolacji, a później każdy coś czytał, szył, czy rysował. Nie było przecież telewizji, więc wieczory były organizowane inaczej. Po wojnie ojciec głośno nam czytał historyczne książki. Latem, szeroko otwarte drzwi stwarzały szczególny urok tego wnętrza, zwłaszcza w porze obiadowej w słoneczne dni. Nigdy tu nie było upału, a zimą długie promienie kładły się w głąb sięgając stołu. Urocze było to nasze miejsce, takie przytulne i tak łatwe w kontakcie z ogrodem, gdzie jaśmin można było rwać z okna, a duże donice z drzewkami pachnących oleandrów, różowych i fioletowawych, zdobiły dookoła werandę, późnym latem pachniały floksy w różnych odcieniach barw.

Niestety, po wojnie brak pieniędzy, zniszczenia i niedbałość

lokatorów podczas lat naszej emigracji oraz totalna niemożność systemu administracyjnego, spowodowały, że dom starzejąc się robił się coraz zimniejszy i mimo gorących pieców temperatura w wietrzne zwłaszcza dni była za niska. Biedni rodzice z ciocią Izią, siostrą mamy, która wróciła właśnie z Kazachstanu jako gomułkowska repatriantka, marzli przez wiele lat i męczyli się w prymitywnych warunkach, jakie wtedy były przecież w Polsce wschodniej powszechne. Ale przywiązanie do tego domu i nasze przyjazdy trzymały ich psychicznie i fizycznie, praktycznie do końca życia.

We wczesnym dzieciństwie zamojskim miałam trzy groźne przygody. Każda z nich mogła zakończyć się tragicznie. Najpierw, jako niemowlę zostałam nakarmiona przez nianię zielonymi porzeczkami. Ledwie mama odchuchała. Później, gdy już chodziłam, weszłam za służącą po bardzo stromych schodach na strych. W połowie drogi straciłam równowagę i spadałam. Szczęściem Jaś Piątkowski, brat cioteczny, właśnie wchodził i złapał mnie w powietrzu za sukienkę. Trzecia przygoda, którą także znam tylko z opowiadania, zdarzyła się na wiosnę. Mogłam mieć wtedy niespełna trzy latka. Starsze dzieci bawiły się w ogrodzie zajęte sobą, a ja dreptałam po grządkach i nagle wpadłam do płynnego śmietnika. Brat zauważył, że mnie nagle nie ma, narobił wrzasku i zostałam wyciągnięta za futerkowy płaszczyk tyczką do zrywania gruszek. Widocznie nie taki koniec mi w niebie przeznaczono.



Mama – Eleonora z de Schmieden-Kowalskich, Józefowa Fabijańska

Z uroczystości rodzinnych pamiętam większy rodzinny zjazd i zaprzyjaźnionych gości kiedy to nas, dzieci było dużo więcej i z tej okazji skorzystała moja siostra urządzając chrzciny lalki – Magdy, ślicznej, porcelanowej, zamykającej oczy z długimi rzęsami. Deska od stołu posłużyła za ołtarz. Lila, siostra cioteczna była księdzem w nocnej koszuli, bracia Witek i Julek służyli do mszy, a po tym wszystkim zaproszono nas do stołu na smakołyki. Pamiętam nasze zabawy w ogrodzie na wiosnę. Gry w

„kiczkę” i w palanta, a przede wszystkim w chowanki, gdyż ogród przed domem był nie tyle duży, co gęsto zarośnięty. Pod płotem maliny, przez środek alejka z krzakami porzeczek i agrestów. Drzewa jabłoni, grusze ozdobne krzewy bzów po bokach ganku, sercowaty klomb na osi z bajecznie kolorową mieszaniną o każdej porze innych gatunkowo kwiatów. Na obrzeżach, pod płotami sąsiadów rosły złocienie i floksy stwarzając możliwości kryjówek nie do odkrycia. Podwórze, przez które trzeba było przechodzić do nas, to były ogródki przed i dookoła każdego domu, a było ich pięć z naszym. W tym podwórzu rosła kochia – roślina-samosiejka, której nikt nie pielęgnował, ale rosła bujna, wysoka i rozłożysta, czasem smukła na kształt włoskich cyprysów. W niej najlepsze były chowanki, ale to było możliwe dopiero późnym latem. Lubiłam bardzo bawić się lalkami na schodach ganku, zwłaszcza w upalne dni. Ulubione zabawy w dom z gotowaniem na niby, z szyciem ubranek dla lalek i pożytecznym robieniem na drutach. Byłam w tym wszystkim zwyczajną, przeciętną dziewczynką, ale jedno różniło mnie od moich towarzyszek zabaw dziecinnych. Uwielbiałam wszystko, co piękne: ładne mieszkania, przedmioty artystyczne, stare antyki, musiał być ład i porządek, mieszkanka lalek posprzątane i ozdobione kwiatami, serwetkami, tkaninami, dywanikami. Przytulność, ciepło tkanin były mi zawsze potrzebne. Kiedy mieszkanie lalek, które znajdowało się pod biurkiem mamy, było wysprzątane oddawałam się cała doznaniom estetycznym i każdą zauważoną niedoskonałość, czy

szpetotę starałam się zasłonić: obrazem, meblem, tkaniną, lub kwiatem, aby nie raziła oczu, aby nie budziła poczucia wstydu, czy zażenowania.

Zamość z dzieciństwa i lat trzydziestych, pozostał w mej pamięci uroczysty, świąteczny, wyjątkowy. Pamiętam dobrze nastrój przedświąteczny w naszym domu i ogromną choinkę do sufitu, stojącą na dywanie francuskim w naszym, dziecinnym pokoju. Paliły się na niej lampki Philipsa kolorowe, podobne w kształcie do dużych śliwek. Bombki, łańcuchy z kolorowego, glansowanego papieru, paciorkowe kapliczki, koszyczki z wydmuszek i dzbanuszki czy ptaki, a wreszcie soplowate cukierki w błyszczących papierkach, pierniczki, szyszki, orzechy i czekoladowe cudeńka w cymfoliach – sprawiały, że choinka była bogata i przyciągająca największe łakomczuchy. Może w tym roku, ostatnim przed wyjazdem do Hrubieszowa, dostałam na gwiazdkę ukochanego Bila – psa-zabawkę z niebesko-żółtej flaneli z noskiem czarnym i pyszczkiem w pepitę. Został zapomniany na piecu, ku mojej rozpaczy.

Inspiracją i pobudzeniem wyobraźni dziecięcej byli kolędnicy, chłopcy z sąsiedztwa zarówno ci, co śpiewali: „po kolędzie, głośno wszędzie, niech pan Fabijański zdrów i wesół będzie …”, jak i też ci, którzy przychodzili do kuchni z jasełkami posługując się kukiełkami własnej roboty i tekstami anonimowych autorów ludowych. Najbardziej podobała mi się kolorowa, duża gwiazda,

którą obracał chłopak ubrany w kożuch do góry włosem, gwiazda wtedy rzucała coraz to inny migotliwy blask od zapalonej w środku świeczki. Była dla mnie czymś niezwykłym, przepięknym, magicznym. Wśród jasełkowych postaci obowiązkowo musiał być diabeł, król Herod i Żyd w świetnych, karykaturalnych przebraniach. Kolędnicy po występie dostawali ciasto, łakocie i pieniądze. Pamiętali to do następnego roku.



Na Wielkanoc punktem kulminacyjnym przygotowań było pieczenie drożdżowego ciasta w prawdziwym, babowym piecu, który przetrwał do końca bytu moich rodziców, mimo, że zajmował 1/4 kuchni. (Baby Wielkanocne piekło się w ogromnych, kamiennych formach karbowanych, okropnie ciężkich). Do pomocy w tym okresie przychodziła sympatyczna kobieta zwana Antoniową. Przynosiła z sobą lampę naftową, którą zapalała wieczorem w sieni dla „pokutujących duszyczek", jak mawiała. Wyobraźnia dziecięca intensywnie wtedy pracowała, chcąc koniecznie ujrzeć taką duszyczkę.

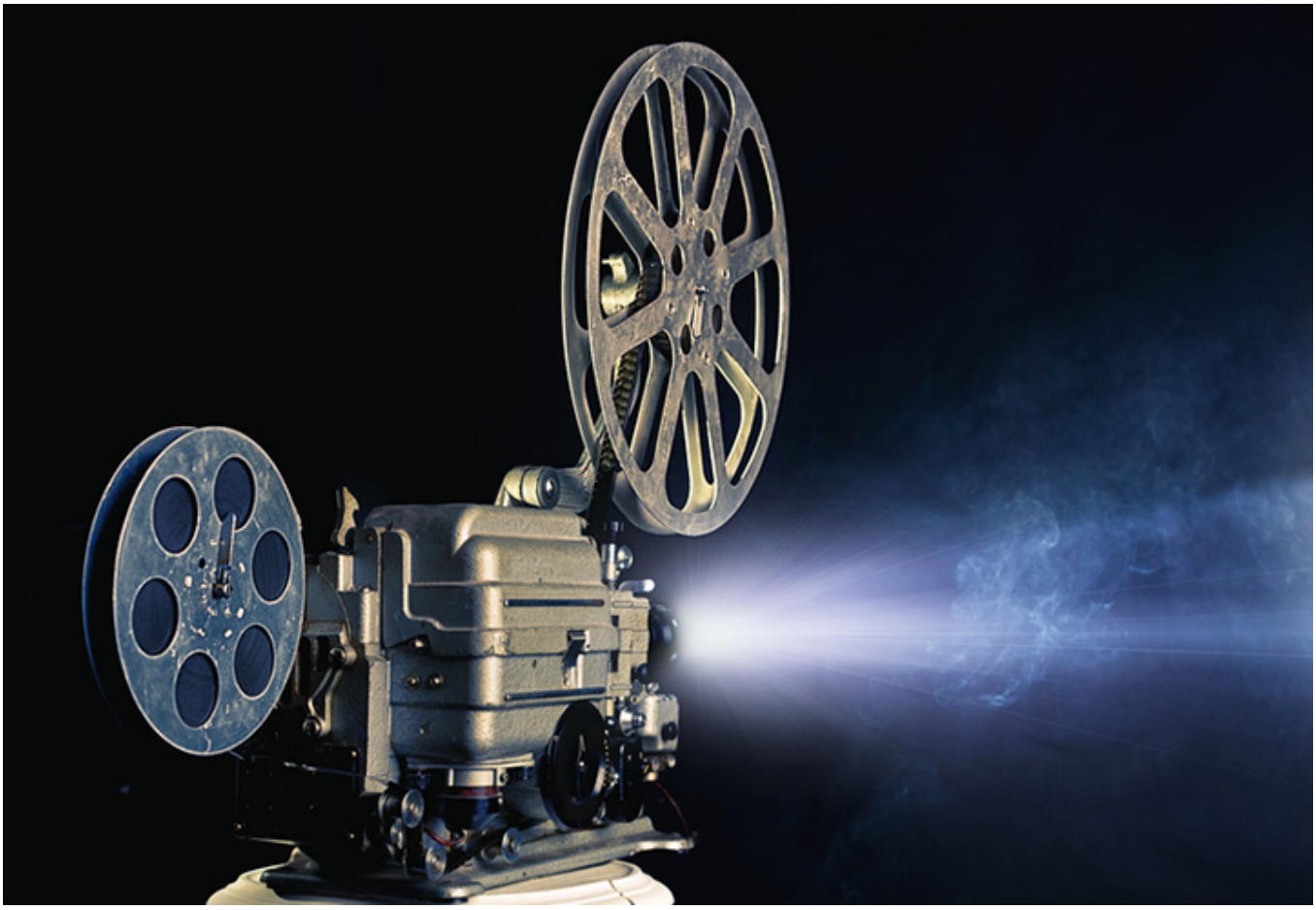
Zamość przedwojenny pozostał w pamięci, jak kilka barwnych plam na obrazie impresjonistycznym. Nałożyły się na nie ciemniejsze kolory okresu stalinowskiego, biedy i przygnębienia, represji i podłości. Ale nie chcę Zamościa wspominać z tego smutnego okresu, przynajmniej nie teraz.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) otrzymując tytuł

magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i ponad 100 artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu (IATM) przy ICOM (International Council of Museums), reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach.Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na

Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa" przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem.

Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamaszyście i z wykrętasami wypisano nazwę filmu. Wyruszaliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce

afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza – po czym rozpoczynał się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile – przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwalała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda", „Wiśniowy sad", „Dzieci Pireusu", „Besame mucho" – to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu – dziewczyny tańczyły ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczał największy po kinomechaniku specjalista – chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do

stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

– Zaczynaj, zaczynaj! – rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali" niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna… Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadawiali się w najlepszym miejscu – w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało – na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach – na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzątał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew

surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słychać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!” – i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna – wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko – i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek… Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamanym urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.

Pastelowa wstęga Möbiusa na czarnym tle. Część 1.

50 lat twórczości Andrzeja „Dudiego” Dudzińskiego



Magda i Andrzej Dudzińscy, fot. K. Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk *(Sopot, Toronto, El Chalten w Patagonii)*

Gdy zapoznajemy się z pracami Dudiego, pojawia się słowo,

czasami niebezpieczne dla twórcy – zachwyt. Zachwyt bezkrytyczny – oczekując, by stale nas zaskakiwał przyrządzając smakowite iluzje nadziane na rożen realności oraz zachwyt krytyczny – z obawy, za co jeszcze może się wziąć… Bo póki co, są to: malarstwo, grafika, rysunek satyryczny, ilustracje książkowe, plakaty, fotografia i foto-przekształcenia, scenografia teatralna, publikacje książkowe, w tym wspólnie z żoną Magdą książki dla dzieci, prace komputerowe (obrazy cyfrowe), kolaże i asamblaże, prace dla radia, TV, kabaretu i filmu, a ostatnio także reżyseria. Należałoby dorzucić dawne rysowano-pisane listy do przyjaciół i znajomych oraz wciąż podtrzymywane życie towarzyskie, połączone ze zdziwieniem z powodu jego zanikania i tak szybkich zmian w świecie, że poprzez jego liczne dziury i pęknięcia postrzępiła się, a nawet czasem zerwała w wielu miejscach, materia ciągłości pokoleniowej. Dodatkowo, w owych zaklęśnięciach żywobycia coraz to znikają ludzie z rodziny i z grona dawnych znajomych, udając się śladami doży, któremu się dłuży w otchłaniach Wszechświata…

I tak zleciało 50 lat twórczości artystycznej, którą Andrzej Dudziński obchodził w ubiegłym roku, twórczości bynajmniej nie zasklepionej w sobie i w spoczęciu na zasłużonych laurach.

Sopockie klimaty

Z Dudim mam życiowe zaplątania, które wzięły się nie tylko z mieszkania razem w tym samym, magicznym wręcz miejscu, Sopotem zwanym, gdzie się Andrzej urodził. Spotkaliśmy się w sopockim II Liceum, w ósmej klasie. Ja beknąłem czyli zostałem na drugi rok i tym sposobem z Dudim się rozstałem. Co pewien czas dochodziły mnie wieści o jego wyczynach w szkole i poza nią, bowiem od samego początku był postacią barwną. Dobrze znali się nasi ojcowie, spotykając się na gruncie zawodowym w biurze projektów. Nadto nasi rodzice dość często grali w brydża, popijając co lepsze zagrania nalewkami lub wyrobami PMS. Gdy Andrzej popadł w tarapaty z językiem rosyjskim, uczęszczał przez pewien czas na korepetycje do mojej babci, która jako osoba urodzona w wieku XIX, kończyła szkoły w zaborze rosyjskim. Kiedyś śmiejąc się powiedziała mi:

> Ten Dudziński zadaje czasem takie pytania, że nie wiem jak na nie odpowiedzieć. Wczoraj stwierdził, że w szkole razi go brzydota i wulgarność języka łacińskiego i na dowód przytoczył odmianę słowa „huius” dodając, że jeszcze do tego jest zaimkiem wskazującym – zapewne na kogoś.

W Sopocie była szczególna atmosfera, bo po wojnie w dużym procencie mieszkała tam inteligencja, w tym spora grupa warszawiaków, którzy po przeżyciach wojennych nie byli w stanie ponownie zamieszkać w zrujnowanej stolicy. Następnie

wygnańcy ze Wschodu czyli wilniucy i grodnianie, nadto zachowało się nieco Niemców i ocalałych Żydów. Niemców komuna ostatecznie wygnała po roku 1951, natomiast wielu Żydów po 1968. I od lat mieszkali tam Kaszubi. Jednym słowem była to pewnego rodzaju wielokulturowość, bo mieszały się nie tylko języki i gwary, ale też style życia i bycia. Przeto materia dla obserwacji i wzbogacania wewnętrznego była nader obfita, a od czasu do czasu, po grzbietach waliła nas historia.



Sopot, widok na Zatokę Gdańska, fot. K. Kasprzyk

Kto wie czy jednak nie ważniejsze było otoczenie, krajobraz i

klimat tego miasta – wzgórza porośnięte lasem, plaża, morze czyli Zatoka Gdańska, która zimą potrafiła tak zamarznąć, iż chodziliśmy piechotą wokół sopockiego mola, przedziwna architektura starych, poniemieckich domów, rodem z bajek lub świata innych fantazji, stare kamienice z przeróżnymi zakamarkami, przejściami i nader tajemniczymi piwnicami. To był świat naszego dzieciństwa, który nas pobudzał i rozwijał, tworzył magiczne pole eksploatacji skutkujące często naszymi dokonaniami w latach późniejszych. Oczywiście pod warunkiem, że zasiedlił się w nas talent, pracowitość i to COŚ unikalnego. To wszystko w Andrzeju szczęśliwie się skupiło.

Słynne były teksty Dudzińskiego, nazywanego wtedy Szarotą, różne jego powiedzonka i purnonsensowne kawały, gdy się spotykał w czasach studenckich ze swoją paczką w kultowej sopockiej kawiarni „Złoty Ul”. Z tamtych czasów zapamiętałem jeden jego dowcipas:

> pustynia, gorąco, po piasku lezie harcerz, dochodzi do jakiejś wydmy i zaczyna kopać w niej saperką. Kopie, kopie, kopie i po chwili odkopuje drzwi z napisem „Piekarnia”. Puka, ktoś odzywa się „Proszę wejść”, więc wchodzi i pyta „Czy są czerstwe bułki?”. „Nie ma” odpowiada piekarz. Harcerz wyjął dzwoneczek i zadzwonił.

Zaskoczył nas także jego ożenek w młodym wieku (22 lata, wciąż na studiach) z Magdą Dygat, ale ta miłość trwa do dziś na nadzwyczaj ciepłych i solidnych podstawach. Wtedy poczytywaliśmy taki krok za sporą odwagę, bo przeważnie trwaliśmy grzecznie, czasem przydługo, na garnuszku rodziców. Andrzej miał przeboje z ojcem, nie tylko z powodu wczesnego ożenku, ale głównie z racji wymknięcia się po dwóch latach z architektury na Politechnice Gdańskiej. Ojciec sobie wymarzył i zaprojektował, że Andrzej będzie architektem. Nadto styl Brunona Dudzińskiego i jego poczucie humoru dalekie były od synowskiego, ba, wręcz się rozmijało.

Dudi najpierw przeszedł do gdańskiej PWSSP, na architekturę wnętrz i grafikę, by potem przenieść się do warszawskiej ASP, kończąc wydział grafiki i plakatu w pracowni Henryka Tomaszewskiego. W schyłkowych latach 60. kontakt z nim mieliśmy potrójnym sposobem. Po pierwsze – poprzez nadsyłane do przyjaciół listy z rysunkami, które oglądaliśmy zaśmiewając się serdecznie. Po drugie – przez pierwsze jego dokonania w dziedzinie ilustracji okładek (pismo „Ty i Ja") oraz zamieszczanie rysunków w miesięczniku „Polska" i tygodnikach: „Kultura" i „Szpilki". I po trzecie – wpadał od czasu do czasu z Magdą do Sopotu, bo niełatwo było zapomnieć jego atmosferę, szczególnie tę z końca lat 50. i początku 60. Mieszkali tu profesorowie gdańskiej PWSSP, którzy byli pierwszymi mistrzami Dudzińskiego, z Gdańska promieniował klub studencki „Żak",

najeżdżała nas regularnie kulturalna Warszawa, pienił się obficie letni sezon, a punktem zbornym, przez niemal cały rok, był słynny SPATiF na dole Monciaka czyli ul. Bohaterów Monte Cassino. Jak powiedział Dudi o Sopocie, w jednym z wywiadów:

> tam socjalizm mieszał się z przedwojennością, a prowincjonalność z wielkim światem.

W oparach swingującego Londynu

Londyn, w końcu latach 60., był wytęsknioną, wyimaginowaną krainą dla mego dokuczliwie, a nieraz boleśnie przytrzaśniętego w komunie pokolenia. Fascynował, wabił i nęcił. Skazani na radio i jakieś odpryski w kinie i telewizorach, odpryski z reguły pod kontrolą, chciwie łapaliśmy każdą wiadomość stamtąd. Byliśmy zafascynowani, często naiwnie i bezkrytycznie, Zachodem, szczególnie Londynem, który wciąż dzierżył pierwszeństwo bycia kulturalną stolicą Europy, a nawet świata. Mimo, iż była to już końcówka ruchu hippie i młodzieżowej kontrkultury, powoli wchłanianej przez komercję.

Lecz póki co kontrkultura z jej głównym rdzeniem – muzyką rockową (Beatlesi, Stonesi, Hendrix, psychodelik skupiony w

samej jego esencji o nazwie Pink Floyd), psychodeliczną sztuką, z rozbudowanym podziemiem (słynny undergrodund), z duchem buntu, anarchii, zjadliwej ironii wobec establishmentu, jednocześnie z krzewionymi hasłami łagodności, miłowania i pokoju – wszystko to wciskało się wszelkimi możliwymi szparami w życie kulturalne, społeczne i polityczne. I powstał nowy rodzaj niezależnej prasy, pisma takie jak „OZ", „Ink", „Frendz" i „Time Out" w których, w czasie dwuletniego pobytu w Londynie, Dudi znalazł swobodną przystań i to taką, która mu dała artystyczny i intelektualny zaczyn.

Czy byliśmy zazdrośni? O tak, bo dostał się do wymarzonego raju, bo zaznał swobody. Bo mógł chodzić po Portobello Road, widzieć i słyszeć te wszystkie cuda. Poznawać i obserwować naszych uwielbianych artystów, naszych idoli nie raz zatopionych w narkotycznych odjazdach lub łagodnych odlotach na "trawie", by podbudować swoje czucia i dać kopa wyobraźni, tak mocno zafascynowanej wtedy Wschodem, ale tym Dalekim. I nie było w tym żadnej ambiwalencji. Ona przylazła później i niestety sporo osób z naszego pokolenia, raczej brzydko się zestarzało.

Za komuny Trójmiasto było oknem na świat. Marynarze dostarczali ciuchy, w tym wytęsknione dżinsy i winylowe płyty o zapierających dech okładkach, w szalejącym rozpasaniu pop i op artu. Dudi był wtedy nieodrodnym dzieckiem owego pokolenia, podekscytowanego zachodnią sztuką. Dzięki pomocy i

zaproszeniu od znanego dokumentalisty Bolesława Sulika, w czerwcu 1970 Dudzińscy zakotwiczają się w Londynie. Wieść o wyjeździe Dudiego do swingujacego wciąż Londynu była dla nas nader ekscytująca. Bo pomijając wspomnianą zazdrość mieliśmy tam swojego człowieka, ba, przedstawiciela Sopotu!

Londyn Dudiego to swoisty skok na głęboką wodę. Od grotechy życia w PRL-u, odskorupiania się z układów rodzinnych i ostatecznego zrzucenia z siebie ojca, do anarchistycznego szwungu, surrealistycznego spojrzenia na świat, osierocenia spokoju schowanego pod ziarnkiem piasku na sopockiej plaży, bo roztętniony Londyn żył na okrągło z atomową wręcz energią działania i dziania się.

Po latach wspominał:

> kiedy w wynajętym pokoju rozłożyłem kilka arkuszy białego papieru na podłodze, wiedziałem, że chcę robić coś zupełnie innego. Doskonale pamiętam to uczucie otwarcia. Jak gdyby fakt, że jestem w nowym miejscu, tak zupełnie innym od Warszawy czy Sopotu, nakazywał i jednocześnie umożliwiał przejście do innego wymiaru. Być może była to też próba oderwania się od wszystkich dotychczasowych wpływów. Takie bezlitosne zajrzenie w siebie, żeby odnaleźć to, co jest autentycznie moje i nie narzucone.

Powrót i odwrót

Latem 1972 roku Dudzińscy są znów w Warszawie. Powrót Andrzeja, połączony z wyfrunięciem z łamów “Szpilek” Ptaka Dudiego, otoczonego przyjaciółmi – zwierzątkami, komentującymi lub dopowiadającymi kwestie do głównych tekstów ptaka, napełniał nas radościa i satysfakcją. Czytaliśmy jego krótkie filozoficzne rymowanki o życiu, odnajdując w nich nie tylko jego dawny, sopocki duch, wzbogacony tym co zaczerpnął z atmosfery i stylu bycia Londynu, ale także uwielbialiśmy jego naigrywanie się z zapyziałego PRL-u, który był tak dokuczliwym, naszym gorsetem.



A. Dudziński, źródło: Internet

“Szpilki” były wtedy niemal wyrocznią mego pokolenia, włącznie z bardzo lubianym przez nas felietonistą – tak, tak! – Urbanem. Zespół różnorodnych i świetnych rysowników – potężna gromadka Andrzejów: rozrywkowy i oryginalny w swej twórczości Czeczot, kąśliwy i celny Krauze, rozwijający coraz mocniej swój wręcz genialny zmysł felietonowy – Mleczko. Co to było za rozbuchane i ostro patrzące na rzeczywistość towarzycho!

A w nim ekscentryczny, przekorny i filuternie ciepły Ptak Dudi:

> a my tu sobie panie redaktorze pracujemy z kolegą docentem nad, nie uwierzy pan, miniaturyzacją niechęci…

Ptak czujny (ostre spojrzenie), acz obserwator nieco zdystansowany (ironia) zaułków, przejść i ślepych ulic biurokratycznej rzeczywistości nudnego i przaśnego PRL-u, egzystował przez siedem lat.

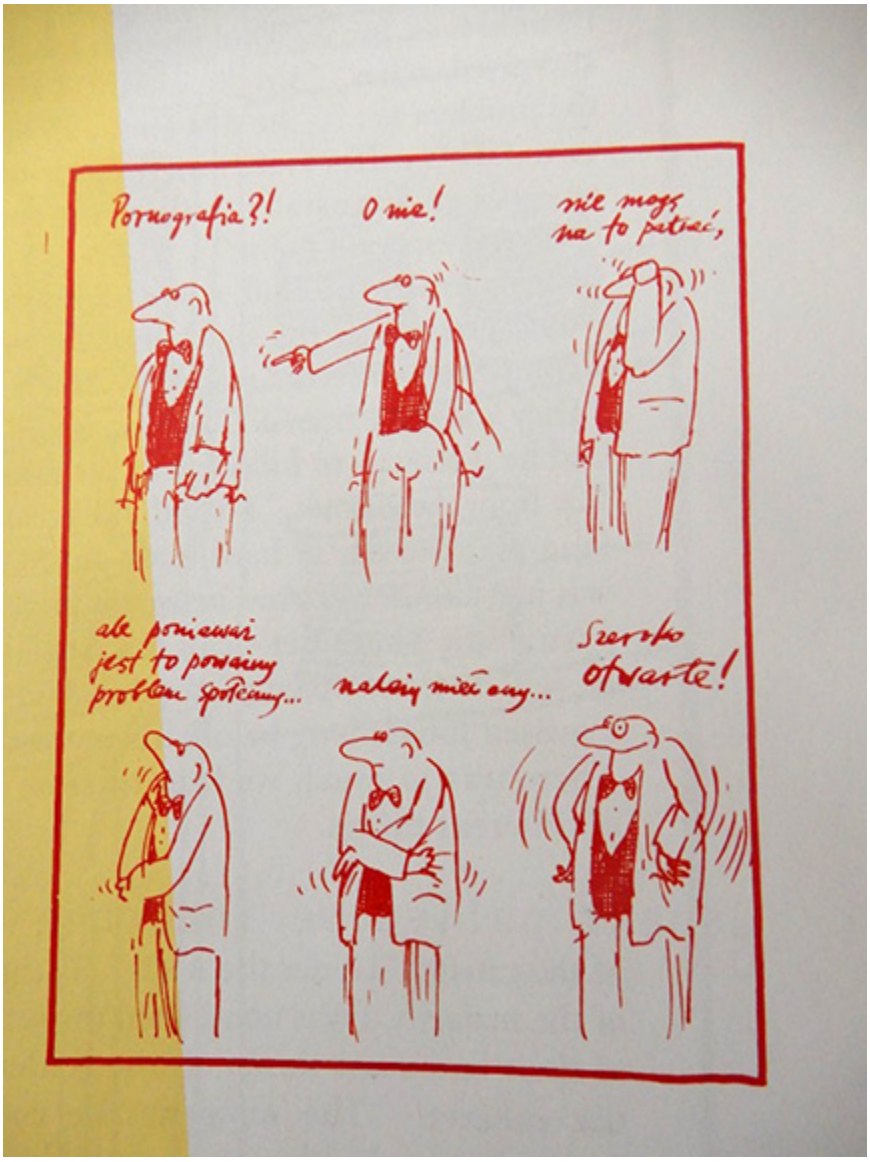


A. Dudziński, źródło: Internet

Stan ducha i materii ironiczno-anarchicznego Ptaka był zarazem instynktowną ucieczką przed zaszufladkowaniem, przed nalepką-przylepką, przed triumfalnym uchwyceniem-odkryciem przez krytyków i /lub publiczność. To nie miał być ptak w klatce, nawet gdyby była złota. Miał buszować na wolności by być ciekawym dla samego siebie. Z chłopięcą ciekawością wciąż odkrywać nowe mielizny, doły i zapadliska, przylądki i zatoki na bezmiarze żywiołu wody. Jak niegdyś podczas letniego byczenia się na

sopockiej plaży.

Publikował także, w „Szpilkach” i innych tygodnikach i miesięcznikach, zabawne, a zarazem refleksyjne i z dużym wdziękiem czynione rysunki satyryczne, co podawało nam w czasach komuny dodatkową porcję tlenu do przetrwania. Jego ogląd świata nie był oparty na buncie dla buntu, czy na negowaniu starych zgredów, bo rzecz była nie w wieku, ale otwartości rozumu i czucia, a przede wszystkim artystycznego intelektu.



A. Dudziński, źródło: Internet

W latach 70. na stałe współpracował z „Ty i Ja”, „Literaturą”, „Kulisami”, „Polityką” i innymi periodykami. Projektował plakaty filmowe i teatralne, czołówki filmowe i teatralne scenografie. Okresowo współpracował z radiem i telewizją, a także kabaretem „Pod Egidą” i „Salonem Niezależnych”. Razem z Magdą pisał i ilustrował książki dla dzieci. W 1975 roku Ptak Dudi był osią słynnego festiwalu artystycznego studentów – FAMA. Dudziński pokazał tam, zrobiony wspólnie z Jurkiem Karpińskim, z

warszawskiego klubu „Stodoła”, pierwszy w swym życiu, kompletnie odjazdowy film. Postacie z filmu (Kleyff, Tarkowski i Weiss z “Salonu Niezależnych”) pojawiły się jakby wprost z ekranu na scenie w świnoujskim amfiteatrze. Wywołały tam kompletną anarchię rozwalając scenę i prowokując część widowni do zadymy, co miało być niejako symbolem ówczesnej degrengolady PRL-u. W niepełny rok później wybuchły protesty w Ursusie i Radomiu.

W 1976 roku Dudzińscy zostali zaproszeni do Holandii i Francji, gdzie Andrzej spotkał się ponownie z Ronaldem Toporem. Na całe życie zapamiętał to co mu Topor powiedział:

> nie obawiaj się, my artyści nigdy nie idziemy na emeryturę, pracujemy do końca.

Od powrotu z Londynu miał w Polsce cztery indywidualne wystawy swoich prac, przy czym ostatnią przed wyjazdem do USA, w 1977 roku, w gdańskim klubie „Żak”, którego byłem wtedy prezesem i którą to wystawę, wspólnie z moimi pracownikami, zorganizowałem.

I jakżesz przedziwnie się plotą zbiegi okoliczności. W tym samym roku zaprosiłem do klubu pianistę jazzowego Adama Makowicza i był to także jego ostatni koncert w Polsce, przed wybraniem

wolności w Stanach.

Okres amerykański czyli z opresji pod presję

W 1977 roku mocno przykręcono śrubę i jedną z naszych ulubionych postaci, dodatkowo kręcących się przy Ptaku – Albina Kapucho ze spółdzielni „Ucho” – „wykopsał” w niebyt szczur z Mysiej, czyli cenzor z Głównego Urzędu Kontroli na ulicy Mysiej w Warszawie. Pozostało nam zżymanie się i zgrzytanie zębami, co u paru zdeterminowanych i odważnych osób spowodowało chęć działania i powstał KOR, po którym wyroiły się inne organizacje i związki oporu, mające swe ukoronowanie w pamiętnym strajku sierpnia roku 1980.

W czerwcu 1977 roku Dudziński został zaproszony na Międzynarodową Konferencję Grafików w Aspen, Kolorado. Przygotował na nią, znów z Karpińskim, krótki film o sobie i swej twórczości pt. „Scrap film”. Występowała w nim ta sama trójka aktorów i zapewne z tego powodu nastąpił kolejny, anarchiczny chaos podczas projekcji, w zderzeniu z amerykańską odmiennością projektorów, wtyczek, gniazdek, jak i napięcia prądu. Pokaz przymusowo przekształcił się w spontaniczny happening. Na konferencji Dudi spotkał wielu wybitnych grafików od których usłyszał słowa zachęty – spróbuj, spróbuj tu

pracować i zaistnieć.

Najpierw był “miodowy miesiąc” spędzony na zaproszeniu do Los Angeles, gdzie Dudzińscy zostali natychmiast wkręceni w kalifornijski styl życia i bycia, w dodatku posiadając nikły budżet. Zaczęło się szukanie prac zleconych, poznawanie rynku i jego możliwości. Dudi był wciąż zafascynowany muzyką rockową i marzyło mu się robienie okładek do winylowych LP, które w latach 70. były graficznymi cackami, niemal dziełami sztuki. Lecz zmienił się już trend i na okładkach zagościł nowy styl. Płacono mu jednak za szkice do projektów okładek. Ponieważ długo nie dało się tak pociągnąć, Dudi zdecydował się na kolejną, artystyczną Mekkę tamtego czasu – Nowy Jork. Tam na szczęście pomogli mu na początku życzliwi rodacy (państwo Markiewiczowie), rzecz niestety dość rzadka w polonijnym środowisku.

Założeniem było spróbować – i to nie za wszelką cenę – wejść na profesjonalny rynek amerykańskiej grafiki i ilustracji dla prasowych magazynów. Za sobą miał nie tylko otrzaskanie w zachodnich realiach, poprzez pracę w Londynie, lecz także posiadał bogate portfolio. Trzeba było zmienić styl pracy i spojrzenia na świat, co także czekało niesfornego Ptaka Dudiego. Dudziński mając już wstępną orientację w terenie, doszedł do wniosku, że ptaszydło może się stać jego pułapką. Zaszeregowaniem do jednego typu twórczości, co wtedy było

bardzo charakterystyczne, a w zasadzie funkcjonuje do dziś na rynku sztuki amerykańskiej.

Nawiązanie współpracy ze świetną gazetą “New York Times”, było dla niego kolejną lekcją, która przy jego zdolnościach, pracowitości i intelekcie, dorzuciła nowy element do jego drogi artystycznej. Został niejako zmuszony do porzucenia kolorów na rzecz czarno-białej i to często oszczędnej kreski, bo takie były preferencje “Times’a”. Poszukiwanie koncepcji rysunku-ilustracji do danego tekstu, pchnęło go ku studiowania sztuki greckiej i rzymskiej oraz takich klasyków rysunku, jak Dűrer czy Hogarth. Nadto okazało się, że nabyta w PRL-u umiejętność posługiwania się metaforą, zawoalowanym przekazem, znakomicie się przydaje do ilustracji politycznych tekstów, szczególnie dotyczących Wschodniego Bloku.

Przy okazji chciałbym podkreślić fantastyczną umiejętność Dudzińskiego, którą nazywam błyskiem. Bo oto dostaje tekst do ręki, czasem na ostatnią chwilę, czyta go i mimo pewnych trudności w wyłapaniu niuansów językowych (w amerykańskim przypadku znajomość angielskiego nie zawsze wystarcza i musi upłynąć sporo czasu by się weń wdrożyć), potrafi szybko wyłuskać właściwe ziarno i tak je zasiać, że za chwilę wydaje świetny plon. Ponieważ jego prace regularnie zaczęły się ukazywać w “NYT”, zauważono jego nazwisko.

Zauważyły go też służby widne, tajne i dwupłciowe PRL-u, kiedy od 1981 roku ukrył się pod pseudonimem “Jan Kowalski”, zamieszczając rysunki przy tekstach skierowanych przeciw blokowi komunistycznemu, co automatycznie wzmogło się po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Takowe rysunki zamieszczał wtedy w największej gazecie polonijnej w USA, w “Nowym Dzienniku”.



A. Dudziński, źródło: Internet

Zaczął także pojawiać się w innych znanych dziennikach i magazynach amerykańskich, jak „The Atlantic Monthly”, „The Boston Globe”, „Newsweek”, „The New York Times”, „Playboy”, „Rolling Stone”, „Vanity Fair”, „The Washington Post” i „Time”. Bardzo wiele zawdzięcza „The Boston Globe”, który ku jego uldze, umożliwił mu zamieszczanie kolorowych rysunków, dzięki czemu mógł kontynuować pracę w dwóch, odmiennych stylach. Tym bardziej, że na rynku amerykańskim istnieje specjalizacja automatycznie przypisująca artystę do jednego stylu. A tego Dudi instynktownie nie znosi.

Praca w obu dziennikach – „NYT” i „Boston Globe” umożliwiła mu także zamieszczanie dodatkowych rysunków w magazynach „American Illustration”, „European Illustration” i „Graphis”. W tym czasie Dudzińscy mieszkali na Long Island z widokiem na leżący naprzeciw Manhattan. Gdy ich odwiedziłem w 1985 roku, już tam nie mieszkali. Andrzej opowiadał, że widok na niesamowitą różnorodność zmian wyglądu Manhattanu, za dnia i w nocy, wręcz go atakował i rozpraszał. Dlatego opuścili Long Island przenosząc się właśnie na drugą stronę. Co prawda po przeprowadzce szybko ukradziono im auto, lecz niewiele się przejmując zadecydowali o okresowym wypożyczaniu samochodu, używając często rowerów i spacerując, tym bardziej, iż mieszkali niedaleko nowojorskiej oazy – Central Parku.

Zastanawiam się czy przypadkiem owe wcześniejsze obserwacje

nocnego Manhattanu, wyłaniającego się z ciemności, nie wpłynęły na nową fascynację Dudiego – posługiwanie się pastelami na czarnym tle, co z czasem stało się jego znakiem rozpoznawczym. Czarne tło było wtedy w Ameryce nie do pomyślenia. Zdecydowanie je odrzucano we wszystkich magazynach. A jednak w „Boston Globe" zaryzykowano. Rysunki sporządzał na specjalnym, grubym, szorstkim i oczywiście przepastnie czarnym papierze, zwanym Murillo i produkowanym w Fabriano, w Italii. Eksperymentował na nim temperą, akrylem a nawet olejną farbą, lecz zdecydowanie przeważyły szwajcarskie kredki olejne „Neocolor", które używał z mieszanką terpentyny.



A. Dudziński, źródło: Internet

W sukurs przyszły mu magazyny komputerowe, w których świetnie się przyjął jego nowy styl rysowania, właśnie na czarnych tłach. Wydawnictwa komputerowe zaczęły zamawiać u niego prace reklamowe i rozpoczął współpracę ze słynnym fotografem Ryszardem Horowitzem, mieszając rysunek z fotografią. Lecz znów odezwał się instynkt samozachowawczy i obawa przed kolejnym zaszufladkowaniem. W Polsce uważano go za twórcę w stylu zachodnim, na Zachodzie za typowo polskiego,

natomiast w Ameryce za typowo europejskiego.

W 1982 roku zaczął również coś nowego – został na siedem lat wykładowcą w „The Parson School of Design”, gdzie niejako znalazł swe dawne odbicie z czasów młodości, jak potem napisał we wspomnieniach:

> tam zastałem nieortodoksyjne zachowania i kontestacje wiszącą w powietrzu.

Jednakże po paru latach atmosfera luzu i zadziorności się zmieniła, głównie z powodu nowego rodzaju studentów (należy pamiętać, że w tamtym czasie na uniwersytety wkroczyła polityczna poprawność, nieraz mocno przesadzona). Gdy poczęli się zwracać do Dudiego per “Mister Dudzinski”, postanowił zakończyć swoją karierę profesorską.

Na szczęście okres amerykański był przeplatany wyjazdami i wystawami indywidualnymi w Europie. Zaczęła je wystawa w Londynie, w tamtejszym Teatrze Narodowym. Pod wspólnym tytułem „Widzowie”, Andrzej pokazał 40 olejnych pasteli z niesamowicie wyrazistymi, groteskowymi postaciami. Bardzo szybko posypały się zamówienia z angielskich magazynów – „Vouge”, „Tatler” czy „GQ”. Lecz wydarzyły się rzeczy dodatkowe, przede wszystkim wizyta u znajomych we francuskim

departamencie Dordogne, gdzie obejrzał rysunki naskalne człowieka Cro-Magnon. Obrodziło to serią pasteli z nowym typem postaci i skłoniło go do bardziej oszczędnego stosowania kolorów. Sądzę, że owo doświadczenie stało się zaczątkiem tego co rozwinął obecnie – zamierzonej oszczędności wraz z dążeniem ku prostocie. Pewne znaczenie miała także podróż do Italii i pobyt w Rzymie i w Wenecji.

Praca w USA rozłożyła się na dwa miejsca – mieszkanie na Manhattanie i nabyty dom (studio) w miasteczku Gilbertsville, trzy godziny drogi od Nowego Jorku. Przypuszczał, że sielska cisza ułatwi mu lepsze wsłuchiwanie się w siebie. Tymczasem z powodu niesamowitej ilości owadów, często dokuczliwych, zrodziła się seria istot owadokształtnych. I co dla mnie osobiście intrygujące, mimo spockich korzeni, które przecież wzrastały przeważnie w ciszy i spokoju (dzikie zamieszanie trwało jedynie w sezonie letnim), wszelakie dźwięki prowincji, szczególnie natury, budziły zarówno w Magdzie, jak i Andrzeju, jakiś niepokój. Okazało się, że było im raźniej w nieustannych hałasach i wibrowaniu Manhattanu.

Pośpiech nowojorski to szczególne zjawisko. Wszyscy są niezmiernie zajęci, włącznie z emigrantami, którzy od razu próbują łapać swoją szansę w tym rozbuzowanym ulu, gdzie założeniem jest, że przecież Ameryka przyciąga najlepszych i najzdolniejszych. Dudi twierdzi, że rozpoznawanie go w Ameryce

jako Europejczyka było nobilitacją, bo „Europejczycy mają lepszy smak i lepsze maniery”. Dodałbym – lepsze wykształcenie oraz poczucie ważności życia towarzyskiego, a nie opierania się tylko na pracy z dodatkami (chodzenie po restauracjach, przaśna turystyka, itp.). Owo ciśnienie spowodowało, że Dudi zorientował się, że, jak mówił:

> znalazłem się pośród maniakalnych pracoholików, ludzi przesadnie ambitnych i powinienem czuć się szczęśliwy, że jestem w tej lidze mistrzów, której ekskluzywne członkostwo jest tylko dla psychopatycznych pracusiów.

Dudziński wyczuł w tym nadciągające niebezpieczeństwo. Niespodziewanie w sukurs przyszła wizyta jego siostry Gabi z synem, którego nadruchliwość próbowano opanować zachęcając go do rysowania. Głównym tematem rysunków chłopca była kula na pająkowatych nogach. Dzięki temu pojawił się nowy twór Dudiego – Pokrak, który uzyskał publiczną nobilitację na kolejnej wystawie indywidualnej w Londynie, w 1987 roku. Dudziński przechodził w tym czasie następną fazę artystyczną – sprzeciw wobec wszystkiego czego się do tej pory wyuczył.

Za dwa lata Dudzińscy znaleźli się w grudniu, w Polsce, gdzie natrafili na wręcz szokujacy krajobraz zmian, w kraju w którym

musieli rozeznać się na nowo. W 1990 roku była wystawa indywidualna Dudiego w Warszawie, a rok później w Krakowie. Tam nawiązał współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym”, gdzie na parę lat zagościł Pokrak. Miał stałą rubrykę rysownika-felietonisty i Pokrak wygłaszał tam purnonsensowne teksty z dokomentarzami małych zwierzątek.



A. Dudziński, źródło: Internet

Pokrak znakomicie się dopasował do zachodzących, często pokracznych, zmian w Polsce. Był świetnie wkomponowany w

absurdalny ogląd rzeczywistości. Niektóre rysunki-felietony okazały się także prorocze, gdy na przykład stwierdził:

> Metraż komfortu psychicznego zaczyna się zmniejszać

lub

> Kiedyś mój synu cały ten chaos będzie twój

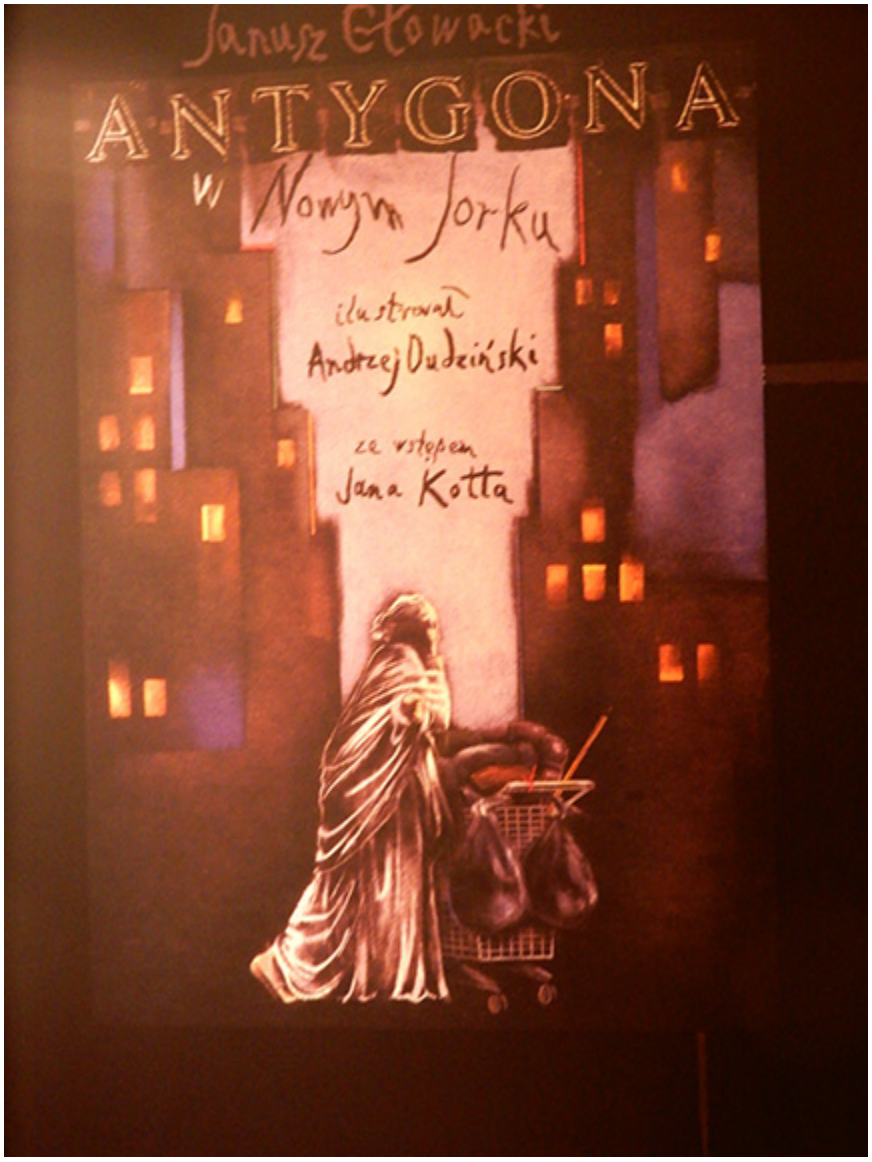
a stojący z boku myszulec dodaje:

> Jak podrośnie to będzie chciał wyjechać. Do Chicago.

W pierwszym roku komentarze i pogaduchy Pokraka trwały w „Tygodniku Powszechnym", gdy Dudi mieszkał jeszcze w Nowym Jorku, co dobitnie zaprzecza tezie, że trzeba być na miejscu, by wyczuwać puls społeczno-polityczny kraju. Wystarczy mieć odpowiednią inteligencję, podpartą talentem i pracowitością. W książce o sobie samym („Andrzej Dudziński", Wyd. Artystyczne i Filmowe, W-wa, 1996) powiedział:

> Nie przypuszczam, że u źródeł mojej kreatywności leży potrzeba kontaktu z publicznością. Próbuję malować, rysować i fotografować rzeczy tak, jak ja je lubię widzieć.

W tamtym okresie wykonywał dla różnych firm wiele projektów reklamowych, m.in. dla AT&T, Condé Nast, Deutsche Telekom (seria kart telefonicznych z motywami olimpijskimi), Royal Bank of Scotland i rysunki do kalendarza IBM w 1992 roku. W tym samym roku wraca do Polski, lecz swój czas wciąż rozdziela pomiędzy Nowym Jorkiem a Warszawą. Jedną z ostatnich prac na terenie Nowego Jorku były ilustracje do kolekcjonerskiego wydania sztuki Janusza Głowackiego „Antygona w Nowym Jorku”.



fot. K. Kasprzyk

Podczas wypadu do Hiszpanii zatrzymuje się w Madrycie, Toledo i Granadzie. Wciąga go słynne Muzeum Prado, dokąd wielokrotnie zachodzi oglądając dzieła starych mistrzów. Raz udaje mu się być przez parędziesiąt minut samemu w sali z malarstwem Boscha. Mogę sobie łatwo wyobrazić co Dudi przeżywał stojąc przed tryptykiem Boscha „Ogród ziemskich rozkoszy”. W roku 2001 udało mi się spędzić w tej sali pełne pięć, samotnych minut, pomijając zaglądającego co chwila

strażnika i nagłe, energiczne wejście malutkiej, złotowłosej dziewczynki, która znieruchomiała na parędziesiąt sekund przed prawym skrzydłem tryptyku zatytułowanym Piekło. Nie mogłem uwiecznić spotkania aniołka z piekłem, bowiem nie tylko, słusznie zresztą, był zakaz robienia zdjęć, lecz miałem na karku strażnika.

Wizyta w Hiszpanii wywarła na Dudim spore wrażenie z powodu przekonania się do maestrii uznanych, starych mistrzów i odcisnęła piętno na jego twórczości, w której pojawiły się elementy iberyjskie. Dlaczego napisałem iberyjskie, a nie hiszpańskie? Bo nieodłączną częścią krajobrazu sztuki Hiszpanii są wspaniałe dokonania Maurów. O tych doświadczeniach wyraził się tak:

> Wszystkie moje dotychczasowe twórcze usiłowania polegały na „odrywaniu się” od tradycji i szukaniu sobie miejsca poza wspólnym zbiorem. Po powrocie z Hiszpanii i Włoch uświadomiłem sobie, że nie ma sensu uciekać, i ta myśl wydała mi się kojąca. Wciąż chcąc być odmiennym, odkryłem że nie muszę być tym tak zdesperowany. Od samego początku, wszystko co kiedykolwiek czyniłem było konsekwencją wewnętrznej potrzeby, trudnych do zdefiniowania impulsów.

Dudziński podczas podróży szkicuje bardzo rzadko. Bardziej fascynują go przeróżne detale murów, ogrodzeń, czy ścian, tworzące gotowe kompozycję struktur, kształtów i kolorów. Do tego celu używa aparatu fotograficznego i ma instynktowną umiejętność właściwego kadrowania tego typu ujęć.

Natomiast podsumowaniem doświadczeń amerykańskich niech będą znów jego słowa:

> Miałem bowiem wrażenie, że zamieniłem jeden rodzaj opresji na drugą. Tam była opresja polityczna, tu jest komercyjna. Szacunek okazywany artyście w Polsce jest trudny do porównania z tym w USA, gdzie zdarza się, że twórca jest pionkiem w grze. Często przypomina rzemieślnika, któremu zleca się wykonanie konkretnej pracy.

Druga część ukaże się w środę, 22 stycznia 2020 r.

Bądź przygotowany. Wiersze.



Florian Śmieja *(Mississauga, Ontario, Kanada)*

MEMENTO MORI

Moja żona ma mi za złe to moje

zabieranie się do odejścia. Przecież

milczenie o nim sprawy nie oddali

może daje komfort niepamiętania

o egzystencjalnych mieliznach, którymi

usłane jest życie, a których i tak

nie wyminiemy. Lecz *„memento mori”*

jest zazwyczaj raczej niepopularne

i ambiwalentne jak już stwierdziła

święta Teresa w swych pamiętnych wierszach.

KASOWANIE

Niebanalną zaletą internetu

jest bezdenny kosz przez jedno kliknięcie

uruchamiany. To w nim szybko kończą

niepożądane przesłania upartych

korespondentów oszczędzając czasu

oraz fatygi pokwitowania bzdur.

To on skutecznie broni przed zalewem

głupoty zagwarantowanej ponoć

w konstytucji prawem demokratycznie

wszystkim ludziom bez żadnego wyjątku.

Przecież już Dickens nazwał prawo osłem.

ZALETA CZEKANIA

Umiejętność czekania to zaleta

chwalebna w nerwowym trybie wydarzeń

codziennych, to znakomita odtrutka

na zgiełk i hałas dziś nam serwowany

powszechnie i z jawną premedytacją.

Wrogowie ciszy już nie mają

za grosz cierpliwości przeto pośpiech

pochłonął ich człowieczeństwo, zaraził

maszyną a ta jak pociąg z daleka

wiadomo, że na nikogo nie czeka.

CELOWOŚĆ NATURY

Starość uczy awaryjnego trybu.

Zwichnięte lewe ramię zastępuje

pomocne prawe. Nogom pomagają

chwytne ręce, bezpieczne poręcze,

kij czy laska chronią przed upadkiem.

Samoobrona organizmu budzi

respekt i jest dobrym przykładem wielkiej

mądrości wyrozumiałej natury.

BORGES SENIOR

Już Borges wiedział, co to jest wysoki

wiek, w którym każde przedsięwzięcie z nocą

już graniczyło i było przygodą

tak tajemniczą jak wszechświat.

Ktoś taką wrażliwością obdarzony

nie może odejść i przepaść bez śladu

bez pozostawienia nam drogowskazów

jak się znaleźć w magicznych labiryntach

oferowanych przez bogatsze życie.

Chociażby misternej nitki Ariadny

LIKWIDACJA KONTA

Każda noc jest próbą bezbolesnego

przemieszczenia się na widny brzeg świtu.

W kokonie ciepła gwarantującym start

świadomości budzimy się z letargu

by zmobilizować rezerwy jeszcze

dyspozycyjne do podjęcia zadań

nadal pilnych i czekających woli

zlikwidowania otwartego konta

a to wszystko dla świętego spokoju

uznanego za ostateczne dobro.

BĄDŹ PRZYGOTOWANY

Choć perfekcyjne rozwiązanie quizu

rano pocieszy jako dobry omen

zabieraj się za dzień i obowiązki

> spełń bez szemrania, ciesz się, że masz cały
>
> aby im podołać. Codziennie bliżej
>
> do kresu. Nadejdzie. Nie twoją
>
> sprawą jest termin: bądź przygotowany.

Florian Śmieja, poeta, iberysta, ur. 1925 w Kończycach, zm. 2019 w Mississaudze.